

Wizyta na Pokątnej

Zanim Dursleyowie ostatecznie pogodzili się z faktem, że Harry zabiera ich ukochaną wnuczkę w dziwną podróż, minął dobry kwadrans. Przez ten czas wuj Vernon miał kilka kolejnych napadów wątpliwości, co nieomal doprowadziło Harry'ego do szału. Ostatecznie mała Betty wsiadła jednak do limonkowego garbusa. Zanim zdołała pomachać dziadkom na pożegnanie, auto ruszyło z kopyta, zostawiając ulicę Privet Drive daleko w tyle.

W ciągu pół godziny garbus dotarł do Londynu, zwinnie wymijając korki i błyskawicznie przemierzając ulice. Przez ten czas w samochodzie panowała grobowa cisza.

— Normalne auto tak nie jeździ — stwierdziła z niesmakiem Betty, kiedy odezwała się po raz pierwszy od momentu, gdy opuścili dom jej dziadków. James, siedzący obok ojca, obrócił głowę do tyłu.

— Nasz dziadek je podrasował — odparł z drwiącym uśmiechem. — Musiał zmodyfikować kilka rzeczy, bo wujek Ron zbyt często powodował wypadki drogowe.

— Skoro potraficie czarować, to po co używacie samochodów? — spytała po chwili Betty.

— Ponieważ czarodzieje muszą się ukrywać przed zwykłymi ludźmi — wyjaśnił jej Harry. — Nie możemy przy nich czarować, ani zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Dlatego czasami stosujemy środki transportu używane przez mugoli.

— *Mugoli?* — spytała ze zdumieniem Betty. — To jakieś przezwisko?

— Nie. Tak określamy niemagicznych ludzi — odrzekł Harry, uświadamiając sobie, że Betty wie tyle o świecie magii, co on

przed laty, gdy po raz pierwszy dotarł na Pokątną.

— A dokąd właściwie jedziemy? — ponownie zapytała po chwili ciszy dziewczynka, przyciskając nos do szyby samochodu.

Harry nie zdążył jej jednak odpowiedzieć, bo właśnie wjechali na Charing Cross Road i garbus zwinnie zaparkował nieopodal Dziurawego Kotła.

Kiedy Betty zdołała wygramolić się z samochodu (a ze względu na swoją tuszę, miała z tym spore problemy), Harry i James poprowadzili ją chodnikiem w kierunku wielkiej mugolskiej księgarni. Obok niej stał mały, nieco brudny pub, którego przechodnie zdawali się w ogóle nie zauważać. Na jego widok, twarz Betty wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia.

— Chyba nie będziemy musieli tam wchodzić, co?! — spytała z oburzeniem.

— Jak chcesz, to zaczekaj tutaj na ulicy — odrzekł James, spoglądając na kuzynkę z poirytowaniem.

Betty rzuciła mu wściekle spojrzenie i już miała coś odpyskować, ale Harry chwycił ją za ramię i wprowadził do pubu, zanim zdążyła zaprotestować.

W Dziurawym Kotle jak zwykle było bardzo tłoczno. Nieco ponure i dość obskurne wnętrze wypełniał gwar rozmów. W kącie siedziały cztery wiedźmy, popijające jakiś trunek z maleńkich szklaneczek. Przy kilku stolikach znajdowali się pracownicy Ministerstwa, których twarze Harry kojarzył jedynie z widzenia. Jeden ze stolików zajmowały trzy krasnoludy, a obok nich jakiś podejrzanie wyglądający czarodziej palił długą fajkę.

Kiedy Harry wszedł do środka, rozmowy na chwilę ucichły. Głowy niemal wszystkich zwróciły się w jego stronę.

— Co za obskurne i nieprzyjemne miejsce — jęknęła niemal szeptem Betty, rozglądając się nieśmiało po izbie.

W istocie, Dziurawy Kocioł nie należał do najpiękniejszych miejsc. Od kiedy Hanna Longbottom odkupiła go od Toma, nie-

wiele się tutaj zmieniło. No, może było nieco czyściej.

— Chodźmy się przywitać — powiedział Harry, kiedy spostrzegł właścicielkę pubu, lawirującą między stolikami i zbierającą puste kufle po piwie.

Zanim zdolali jednak zrobić choćby krok, podszedł do nich jeden z pracowników Ministerstwa.

— Witam, panie Potter! — zawołał, podając Harry'emu rękę. — Gilbert McBee. Pracuję w Biurze Łączności z Goblinami — przedstawił się nieznajomy i wskazując na swój stolik dodał wesoło: — Może zechce pan się do nas dosiąść?

— Dziękuję, ale nie mamy za wiele czasu — odrzekł Harry, kładąc dłoń na ramieniu Betty i ruszając wraz z nią w kierunku baru.

— Czemu oni się tak na nas gapią? — spytała z poirytowaniem Betty, kiedy przez chwilę spojrzenia większości gości Dziurawego Kotła wędrowały za Harrym.

— Pewnie nigdy nie widzieli czegoś takiego jak ty — zadrwił niemal szeptem James, a widząc karcące spojrzenie ojca, dodał po chwili z uśmiechem: — Żartowałem. Gapią się na mnie. Moje zdjęcie było niedawno na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Jestem sławny.

Betty prychnęła z pogardą.

Gdy dotarli do baru, goście powrócili do swoich zajęć i izbę ponownie wypełnił gwar rozmów. Hanna podeszła do nich, pospiesznie odstawiając tacę pełną kufla i ocierając pot z czoła. Wyglądała na bardzo zmęczoną, ale wyraźnie ucieszyła się na ich widok.

— Neville pojechał na grób babci — wyjaśniła, gdy zdążyli się już przywitać. — A dziś taki ruch, że ledwie się wyrabiam.

Porozmawiali chwilę o swoich wrażeniach po wakacjach w Polsce. Harry wyjawiał przyjaciółce powód swojej wizyty na Pokątnej. Ku przerażeniu Betty, Hanna zaproponowała, aby po za-

kupach przyszli do niej na obiad.

— Niczego tutaj nie przelknę — syknęła Betty, kiedy przeciskali się między stolikami w kierunku tylnych drzwi, prowadzących na zamknięte podwórze.

Harry to zignorował, bo pośród tłumu zauważył właśnie kogoś, kogo wolałby nigdy więcej nie spotkać. Mundungus Fletcher, drobny złodziejasek i okryty hańbą dawny członek Zakonu Feniksa, lawirował pośród stolików, machając ręką za Hanną. Kiedy spostrzegł Harry'ego, czmychnął przed nim w popłochu, wracając do stolika, przy którym siedział jakiś elegancki czarodziej.

Wyszli na zamknięte podwórze za pubem. Harry wyciągnął z kieszeni płaszcz różdżkę i trzykrotnie zastukał w ceglany mur, wprawiając tym samym Betty w osłupienie. Kiedy jednak cegły zaczęły się przemieszczać, robiąc coraz większą dziurę w murze i w końcu odsłoniły ulicę Pokątną, dziewczynka była tak zszokowana, że aż rozdziawiła usta ze zdumienia.

— Co to za miejsce?! — niemal krzyknęła podekscytowanym głosem, kiedy weszli na brukowaną ulicę i minęli sklep z kociołkami.

Harry wyjaśnił jej, że jest to magicznie ukryta ulica, na której czarodzieje z całego kraju robią zakupy. Kroczyli Pokątną, przeciskając się przez gęstniejący, kolorowy tłum czarodziejów i czarownic pochłoniętych swoimi sprawami. Co chwilę ktoś kłaniał się Harry'emu lub podawał rękę na powitanie. James tymczasem wskazywał kuzynce kolejne sklepy, opowiadając przy tym, co w którym można kupić. Dziewczynka po raz pierwszy, od kiedy opuściła Privet Drive, wyglądała na szczerze podekscytowaną. Na jej twarzy zagościł nieznaczny uśmiech, a policzki nabrały rumieńców. Przyglądała się witrynom kolejnych sklepów ze szczerym, dziecięcym zainteresowaniem.

— To do którego sklepu pójdziemy najpierw?! — spytała w

końcu, wyraźnie zniecierpliwiona.

Harry uśmiechnął się nieznacznie.

— Zanim zaczniemy coś kupować, musimy zabrać forszę z banku — odpowiedział jej James, który wyglądał na wyraźnie zadowolonego z roli przewodnika po ulicy Pokątnej.

Dotarli do śnieżnobiałego budynku, który stał dumnie, górując ponad okolicznymi sklepami. Kiedy Harry wspiał się po kamiennych schodach i podszedł do drzwi z brązu, zdumiony spostrzegł, że obok nich nie stoi goblin. Przywitał ich jakiś szczupły, ubrany w szkarłatno-złotą liberię czarodziej, który na widok Harry'ego zdjął tiarę z głowy, uklonił się nisko i otworzył im drzwi.

— Dziwne. Odźwiernym zawsze był goblin — zauważył Harry, spoglądając na syna, który także wyglądał na zaskoczonego tym faktem.

— Goblin? — powtórzyła z zaciekawieniem Betty, ale zamilkła, kiedy minęli kolejne, srebrne drzwi i znaleźli się w wielkiej marmurowej sali.

Za kontuarem, na wysokich stołkach, jak zwykle siedziała setka goblinów. Jedne skrobały piórami w księgach rachunkowych, drugie odważały monety na mosiężnych wagach, a jeszcze inne badały przez lupy drogie kamienie. Harry ze zdumieniem stwierdził jednak, że każdemu pracownikowi banku Gringotta towarzyszył czarodziej, odziany w liberię z naszywką Ministerstwa Magii.

— Te gobliny są przerażające — pisnęła niemal szeptem Betty, kiedy cała trójka podeszła do kontuaru.

— Dzień dobry. Chciałbym wziąć trochę pieniędzy z mojej skrytki — oznajmił Harry, zwracając się do goblina o chytrym wyrazie twarzy, który kreślił coś zawzięcie w wielkiej księdze.

— Oczywiście, panie Potter! — zawołał czarodziej stojący obok, zanim goblin zdołał w ogóle zareagować. — Czy mogę zo-

baczyć pański klucz?

Zaskoczony Harry wyciągnął z kieszeni klucz do swojej skrytki i podał go czarodziejowi.

— Wygląda w porządku — stwierdził pracownik Ministerstwa, przyglądając się z bliska kluczykowi. — Niestety musimy jeszcze użyć Próbnika Tożsamości.

— Co takiego?! — oburzył się Harry. — To chyba jakiś żart?! Czarodziej pobladł na twarzy.

— Pan wybaczy, ale tak stanowi dekret bezpieczeństwa numer czterysta trzynaście, wprowadzony przez Ministra Magii — wyjaśnił. — Mamy obowiązek sprawdzać każdego, kto próbuje podjąć środki z banku.

— A od kiedy Ministerstwo wtrąca się w sprawy banku?! — spytał z oburzeniem Harry, a goblin przerwał notowanie w księdze i prychnął ze złością.

— Istnieje uzasadnione podejrzenie, że Ragnuk Okrutny i jego banda spróbują przeniknąć w środowisko pracowników banku — wyjaśnił czarodziej, wyciągając z kieszeni szaty Próbnik Tożsamości. — Potrzebują pieniędzy do swoich nielegalnych działań.

— I dlatego zdecydowaliście się patrzeć na ręce każdemu goblinowi, który tutaj pracuje? — zakpił Harry, wyraźnie poirytowany. Przypomniawszy sobie bowiem artykuły na temat kolejnych pomysłów Grashoppera na ograniczanie praw goblinów. Jak twierdził minister, miały one zapobiec buntom, ale w praktyce działały dokładnie odwrotnie.

— Banda idiotów! — fuknął Harry, kiedy pół godziny później opuszczali bank z sakiewką pełną galeonów. — Powinni wsadzić sobie ten Próbnik Tożsamości w...

— Tato, tu są dzieci! — zaśmiał się James, szczerząc do niego zęby.

Harry'emu wcale jednak nie było do śmiechu.

— Najpierw kupimy wam ubrania — stwierdził roztrzęsionym od nerwów głosem i wyciągnął listę zakupów. — Potrzebujecie trzech kompletów szat roboczych, płaszcz zimowy, spiczastą tiarę i parę rękawic ochronnych... Wszystko to dostaniemy u Madame Malkin.

Udali się zatem do sklepu „Szaty na wszystkie okazje”. Gdy tylko weszli do środka, od progu przywitała ich przysadzista czarownica o pogodnym wyrazie twarzy.

— Hogwart, jak rozumiem? — spytała Malkin, z przesadną uprzejmością. — Zapraszam do przymiarki.

Wskazała Betty i Jamesowi dwa wolne stołki, stojące w głębi sklepu, pomiędzy stojakami pełnymi strojów wszelkiej maści, od roboczego fartucha po wykwinną suknię wieczorową. Z zaplecza wyszła kolejna czarownica i, gdy tylko James stanął na swoim stolku, nałożyła mu przez głowę szatę. Chłopak nie wyglądał na specjalnie zachwyconego tym faktem.

— Zapraszam cię, kochaniutka! — zawołała ponagłajaco Madame Malkin, kiedy Betty nadal stała obok Harry’ego, wyraźnie speszona. — Naprawdę nie ma się czego obawiać. To zajmie tylko chwilę.

W czasie, gdy trwała przymiarka, Harry postanowił wykorzystać wolną chwilę i udać się do Centrum Handlowego Eylopa. Zamierzał kupić Betty jakieś zwierzątko w prezencie. Doskonale pamiętał, jak sam się ucieszył, gdy Hagrid kupił mu sowę.

— Wrócę za chwilę — zapewnił dzieci i wyszedł pośpiesznie na ulicę. Zanim zdołał jednak zrobić choćby krok, dosłyszał wołanie za swoimi plecami. Gdy tylko się obrócił, spostrzegł Lisę. Była ubrana w błękitną, obcisłą szatę, jak zwykle podkreślającą jej krągłości. Włosy miała zaplecione w warkocz, który opadał jej na ramię. W ręku trzymała porcję kolorowych lodów, które co chwilę z gracją oblizywała.

— Miło cię znowu widzieć! — zawołała, podchodząc jeszcze

bliżej.

— Miałem nadzieję, że się dziś spotkamy — odrzekł z zadowoleniem Harry, przez chwilę rozważając w myślach, czy nie powinien przypadkiem ucałować przyjaciółki w policzek na powitanie. — Ślicznie dziś wyglądasz.

Lisa zarumieniła się na twarzy. Harry także poczuł zakłopotanie.

— Cieszę się, że przekonałeś mnie do powrotu — powiedziała Lisa, zerkając ukradkiem na twarze czarownic i czarodziejów, którzy bez słowa mijali ich na ulicy. — Chyba faktycznie byłam nieco przewrażliwiona. Nikt nie zwraca tutaj na mnie szczególnej uwagi...

Harry spojrział na witrynę sklepu Madame Malkin i dostrzegł syna, na którym sprzedawczyni mierzyła właśnie płaszcz zimowy. Uświadomił sobie, że James nie powinien wiedzieć, dzięki komu Lisa wraca do Hogwartu. W ten sposób ta informacja mogłaby dotrzeć do Ginny.

— Liso, nie chciałbym żebyś mnie źle zrozumiała — zaczął niepewnie Harry — ale wołałbym, żeby nikt się nie dowiedział... wiesz... że to ja cię namówiłem do powrotu... — Widząc zdumione spojrzenie przyjaciółki, pospiesznie wyjaśnił: — Ze względu na te bzdury, które Rita Skeeter opublikowała w swojej książce.

Lisa uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając swoje piękne, śnieżnobiałe zęby. Letni podmuch wiatru wprawił kosmyki jej włosów w ruch. Do nozdrzy Harry'ego dotarła w tym momencie cudowna lawendowa woń. Zapach Lisy za każdym razem przyprowadzał go o dreszcze.

— Nie martw się — odpowiedziała wesoło czarownica, nachylając się konspiracyjnie w jego stronę. — To będzie nasza słodka tajemnica — wyszeptała aksamitnym głosem.

Harry poczuł dziwne ukłucie w sercu. Przez chwilę nie mógł

oprzeć się wrażeniu, że znowu robi coś niestosownego. Coś, co z pewnością nie spodobałoby się Ginny.

Kiedy przymiarki u Madame Malkin dobiegły końca, Harry wszedł wraz z Lisą do sklepu i zapłacił za szaty. Wręczył następnie pakunki synowi, który wyglądał na wyraźnie znudzonego i poirytowanego.

— Dlaczego JA mam nosić JEJ pakunki? — spytał z wyrzutem, wskazując na kuzynkę.

— Bo jesteś chłopakiem! — burknęła Betty, wytykając mu język.

Harry westchnął ciężko. Zanim zdołał jednak coś odpowiedzieć, Lisa z gracją machnęła różdżką, a pakunki uniosły się w powietrzu i zaczęły lewitować za Jamesem. Betty przyglądała się temu z rozdziawioną buzią.

— To córka mojego kuzyna. Elizabeth Dursley. Dopiero oswoją się z faktem, że jest czarownicą — wyjaśnił Lisie Harry, kiedy wyszli na ulicę Pokątną.

Wędrowali poprzez barwny tłum czarodziejów i czarownic pochłoniętych zakupami, oglądaniem kolorowych witryn sklepów, czy też pograżonych w rozmowie z dawno niewidzianymi znajomymi. Lisa wyjaśniła dzieciom, że ponownie będzie uczyć w Hogwarcie transmutacji. Otepiały wyraz twarzy Betty był dowodem na to, że nie miała zielonego pojęcia czym jest transmutacja. James natomiast sprawiał wrażenie wyraźnie zaskoczonego, ale i zadowolonego.

— Mama się bardzo ucieszy — podsumował z kpina, wprawiając Lisę w niemal zakłopotanie.

Dotarli do księgarni Esy i Floresy. Ku zdumieniu Harry'ego, przed drzwiami klębił się tłum rozgorączkowanych czarownic w różnym wieku, próbujących dostać się do środka. Większość z nich stanowiły kilkunastoletnie uczennice Hogwartu, wśród których Lisa wypatrzyła Angelinę Robbins, prefekta swojego domu.

— Co się tutaj dzieje? — spytała ją, przeciskając się przez tłum. — Dlaczego tkwicie pod księgarnią?

Angelina splonęła rumieńcem i odwróciła wzrok. Harry natychmiast zrozumiał dlaczego. W wielkiej witrynie księgarni dostrzegł bowiem plakat z Ritą Skeeter trzymającą w dłoni egzemplarz swojej najnowszej książki. Nad nim biegł szyld z migoczącym napisem:

RITA SKEETER

będzie podpisywała egzemplarze swojej najnowszej powieści

"MORDERSTWO W HOGWARCIE"

dzisiaj od godz. 13.00.

— Może przyjdziemy tutaj nieco później — zaproponował James, widząc jak jego ojciec czerwienieje ze złości na twarzy. — Zresztą, nie muszę mieć książek... I tak do nich nie zaglądam...

Harry nic jednak nie odpowiedział. Czuł bowiem narastającą wściekłość i zamierzał w końcu dać jej upust. Zaczął gwałtownie przepychać się przez tłum zbulwersowanych tym faktem dziewcząt i czarownic w podeszłym wieku. Po chwili udało mu się przedrzeć do środka i stanąć na początku długiej kolejki, wijącej się przez niemal cały sklep.

Wścibska reporterka Proroka Codziennego siedziała przy niewielkim stoliku, obładowanym egzemplarzami jej książek. Wokół stolika tańczył pulchny czarodziej, robiąc zdjęcia wielkim czarnym aparatem. Za każdym naciśnięciem migawki strzelał oślepiający flesz i buchały kłęby purpurowego dymu. Rita zdawała się jednak tego nie zauważać.

Harry przyjrzał się jej uważniej. Miała na sobie jadownicę zieloną szatę. Włosy upięła w dziwaczny, ciasny kok. Na jej nosie, jak zwykle, spoczywały okulary w oprawce z drogimi kamieniami, przez które zerknęła na otwarty egzemplarz swojej powieści. Była

pochłonięta skrobaniem dedykacji dla jakiejś pulchnej dziewczyny. Zauważyła Harry'ego dopiero po chwili, kiedy księgarnie wypełniły podniecone szepty czytelników. Na jego widok, jej wydatna szczęka zadrgała, a kiedy obok niego stanęła Lisa wraz z dzieciakami, reporterka powstała ze złowieszczym błyskiem w oku.

— Niezwykle mi miło, że bohaterowie mojej najnowszej powieści zechcieli zaszczyścić nas swoją obecnością — powiedziała donośnym tonem, zwracając się bardziej do tłumu niż do Harry'ego i Lisy.

Przez księgarnię przeszła kolejna fala pełnych ekscytacji szepców. Harry prychnął ze złości. Lisa cała dygotała. Czarodziej z aparatem błyskawicznie wcisnął się w tłum, rozpychając się przy tym łokciami, aby zrobić lepsze ujęcie.

— Moi drodzy czytelnicy — kontynuowała Skeeter — jak widać, panna Lisa Turpin i pan Harry Potter w końcu przestali kryć się ze swoim romanssem. Bez wątpienia, przyczyniła się do tego moja najnowsza powieść.

Kłęby dymu wypełniły księgarnię, kiedy fotograf raz za razem robił kolejne zdjęcia Harry'emu i jego towarzyszcze.

— Jak śmiesz?! — jęknęła Lisa, czerwieniejąc na twarzy. — Jak śmiesz wypisywać takie kłamstwa?!

— Twoja powieść to stek bzdur! — syknął Harry, robiąc krok w stronę reporterki, która pobladła nieco na twarzy. — Flitwicka nie zamordował żaden goblin! A my nie mieliśmy romansu!

— Pracownicy Hogwartu odnieśli inne wrażenie — stwierdziła dosadnie Skeeter. — Moje śledztwo ujawniło tylko to, co staliście się ukryć w murach szkoły!

Kłęby dymu z aparatu zrobiły się już tak gęste, że Betty zaczęła się dusić. Kasłała, z trudem łapiąc powietrze do płuc. Wściekły Harry jednym machnięciem różdżki wysadził aparat w powietrze.

— Porąbało cię, Potter?! — wrzasnął wściekle pulchny fotograf, próbując zebrać resztki aparatu z podłogi. — To sprzęt Proroka Codziennego! Zapłacisz mi za to!

Księgarnie wypełniły okrzyki oburzenia. Czarownicom zgromadzonym w sklepie wyraźnie nie spodobało się zachowanie Harry'ego. Te, które stały z tyłu i nie widziały co się dzieje, zaczęły przepychać się do przodu. Zrobiło się spore zamieszanie.

— Jak możesz spać spokojnie, wiedząc, że oczerniasz niewinnych ludzi?! — syknęła Lisa.

Rita nerwowo zachichotała.

— Moja droga, chyba nie masz na myśli siebie? — zakpiła. — Niewinna osoba nie uwodzi żonatego czarodzieja i nie próbuje rozbić jego rodziny.

Kilka przysadzistych czarownic w podeszłym wieku stojących najbliżej z przekonaniem poparły Ritę. Inne zaczęły wykrzykiwać obelgi w stronę Lisy.

— To są bzdury! Nigdy nie miałem żadnego romansu! — wrzasnął Harry, ale tłum wzburzonych czytelniczek wiedział lepiej. Księgarnie wypełniły teraz pełne wściekłości okrzyki pod adresem Lisy i Harry'ego.

— W zasadzie powinnam wam podziękować, że jesteście dla mnie nieskończonym źródłem inspiracji! — zawołała z rozbaawieniem Rita, spoglądając na Harry'ego z nieskrywaną satysfakcją.

— MOŻESZ PODZIĘKOWAĆ MI ZA TO, SUKO! — wrzasnęła wściekle Lisa i z całej siły walnęła reporterkę pięścią w twarz.

Niespodziewająca się tego Rita oberwała prosto w nos, który zaczął obficie krwawić. Reporterka zakryła go dłonią, tłustymi paluchami chwyciła za swoją torebkę ze smoczej skóry i z płaczem uciekła na zaplecze sklepu.

— To było ekstra! — zawołał James głosem pełnym podziwu,

kiedy chwilę później wyszli na ulicę Pokątną, ignorując pełne wściekłości spojrzenia czytelników Rity.

— Ta flądra wreszcie dostała to, na co zasłużyła — stwierdziła roztrzęsionym głosem Lisa.

Harry zauważył, że jej ręka krwawi. Pospiesznie opatrzył ranę przy użyciu różdżki.

— Chyba będziemy musieli kupić książki w innym miejscu — powiedziała z powagą Betty, a pozostali wybuchnęli gromkim śmiechem.

Prawda była jednak taka, że incydent w księgarni nie był powodem do śmiechu. Harry zdawał sobie bowiem sprawę, że zostanie on szeroko opisany w Proroku Codziennym. Co gorsza, jego zdjęcie z Lisą ponownie trafi na czołówki gazet. Obawiał się tego, jak w tej sytuacji zareaguje na to Ginny. Przez burzę hormonów była wyjątkowo drażliwa i wybuchowa. Z każdą ciążą jeszcze bardziej.

Lisa również zdawała się martwić całą tą sytuacją. Kiedy dotarli do sklepu z kociołkami, stwierdziła, że nie czuje zbyt dobrze. Zdecydowała się wrócić do swojego pokoju w Dziurawym Kotle. Z kolei James uprosił ojca, żeby puścił go do sklepu ze sprzętem do quidditcha. Chłopak chciał na własne oczy zobaczyć model miotły Błyskawica Trzy Tysiące. To właśnie taki posiadali zawodnicy reprezentacji Bułgarii w tegorocznych Mistrzostwach Świata w Quidditchu.

Harry został więc sam na sam z Betty, czego do tej pory za wszelką cenę starał się unikać. Czuł bowiem pewien dyskomfort, rozmawiając z dziewczynką i zachwalając jej świat magii, który tak bardzo znienawidzili jej dziadkowie. Być może właśnie dlatego nie był zbyt rozmowny. Najpierw zabrał Betty do sklepu z kociołkami, gdzie kupili cynowy kociołek, wagę do odważania składników eliksirów oraz mosiężny teleskop. Następnie udali się do apteki, gdzie, jak nie omieszkała zauważyć Betty, „walilo

zgniłą kapustą i zepsutymi jajami”. Kiedy kupili wszystkie niezbędne ingrediencje do eliksirów, pospiesznie opuścili ciasny sklep i z ulgą odetchnęli świeżym powietrzem.

— Wygląda na to, że mamy wszystko poza różdżką — stwierdził Harry, pospiesznie przeglądając listę. — Ale zanim pójdziemy do Ollivandera, mam dla ciebie małą niespodziankę.

Zaprowadził Betty do Centrum Handlowego Eylopa. Ciemny, nieco ponury sklep pełen był rozmaitych magicznych zwierząt, wśród których znaczną część stanowiły różne gatunki sów. Pośród pohukiwań, pomiaukiwań i innych odgłosów wydawanych przez zwierzęta, między półkami krążyło kilka osób, głównie uczniów pierwszego roku.

— Możesz wybrać sobie zwierzątko, które pojedzie z tobą do Hogwartu — sowę, kota lub ropuchę.

Betty z wielkim podekscytowaniem zaczęła lawirować między półkami, przepychając się przez tłum chłopców zgromadzonych przy klatkach z sowami. Harry przez chwilę ją obserwował, po czym spostrzegł w głębi sklepu znajomą twarz.

Nad klatką z kugucharem pochylała się Lavender Brown, dawna dziewczyna Rona. Harry z trudem ją rozpoznał, bo skrywała połowę twarzy za długimi blond włosami. Był przekonany, że w ten sposób próbowała ukryć potężną bliznę, jaka pozostała jej po bliskim spotkaniu z wilkołakiem Greybackiem. Kiedy podszedł do niej, wyraźnie ucieszyła się na jego widok.

— Derek, mój syn, nalega, żebym kupiła mu kuguchara — wyjaśniła powody swojej wizyty w sklepie. — Tłumaczyłam mu, że nie dopuszcza tego regulamin Hogwartu, ale on jest taki uparty.

Ponieważ Betty była wyjątkowo niezdecydowana, jakie zwierzątko chce kupić, Harry miał sporo czasu na rozmowę z dawną znajomą. Lavender opowiedziała mu, jak ciężko przeżyła śmierć swojego brata, Matta, który został znaleziony martwy w Depar-

tamencie Tajemnic niemal rok temu. Harry z kolei opowiedział jej o ciąży Ginny oraz o przeprowadzce do Hogsmeade.

— A jak się podobało Jamesowi wśród wampirów? — spytała w pewnym momencie Lavender, wprawiając Harry'ego w lekkie zakłopotanie. — Mój mąż przyjaźni się z Worpłem... — wyjaśniła.

Harry dopiero teraz uświadomił sobie, że przecież Lavender Brown jest żoną wampira.

— Początkowo nie byłem przekonany, czy wysłać tam syna — zaczął sucho — ale Rada Nadzorcza Hogwartu nie dała mi żadnego wyboru. Po tym, jak James zaatakował Scorpiusa Malfoya w czasie egzaminu z eliksirów, chcieli od razu wywalić go ze szkoły.

— Bo to ignoranci! Nie rozumieją w ogóle natury wampira i wcale nie próbują jej poznać — stwierdziła z oburzeniem Lavender. — Wciąż wiele osób kieruje się uprzedzeniami i stereotypami. Większość nie zdaje sobie sprawy, że zostały już wynalezione skuteczne sposoby, żeby poskromić wampirze instynkty.

— Dokładnie! — żywo poparł ją Harry. — Scorpius Malfoy ukradł Jamesowi pierśiówkę z Wywarem Księżycowym. Gdyby tego nie zrobił, mój syn panowałby nad sobą i nie doszłoby do tego incydentu — wyjaśnił Harry. — Całe szczęście, że Horacy Slughorn zachował trzeźwość umysłu i w porę rozdzielił chłopców.

— Twoja przeprowadzka do Hogsmeade ma z tym jakiś związek? — spytała z zaciekawieniem Brown.

Harry westchnął ciężko.

— Rada Nadzorcza zgodziła się na pozostawienie Jamesa w szkole, tylko jeśli po zmroku będzie opuszczał zamek — odrzekł sucho Harry. — Musiałem zobowiązać się, że będę uczył w Hogwarcie do czasu, kiedy James zakończy edukację. Mam osobiście dopilnować, żeby nikomu więcej nie zrobił krzywdy.

Lavender prychnęła ze złości.

— Malfoy twierdzi, że to hańba dla szkoły, żeby uczył się w niej ktoś taki jak James — stwierdził chłodno Harry, zerkając na Betty, która zatrzymała się na dłużej przy klatce z pięknym Puchaczem.

— Nonsens! — zawołała z oburzeniem Lavender. — Jest dokładnie odwrotnie! To wielki zaszczyt dla Hogwartu! James pokazał prawdziwą klasę. Nalegał, żeby ułaskawić Sylasa Wielkie i wybaczył mu napaść. Niewiele osób zdobyłoby się na taką wspaniałomyślność! Nie bez powodu pisały o tym gazety na całym świecie!

— To prawda. Jestem z niego bardzo dumny — odparł z zadowoleniem Harry. — Wykazał się olbrzymią dojrzałością, mimo młodego wieku.

— Dokładnie. A dzięki niemu zaczyna się także zmieniać sposób postrzegania wampirów w naszym społeczeństwie — stwierdziła z zadowoleniem Brown.

Po upływie niemal dwóch kwadransów Betty zdecydowała się w końcu na sowę płomykówkę. Kiedy Harry kupił zwierzaka i wręczył dziewczynce klatkę, po raz pierwszy, odkąd byli razem, Betty naprawdę się uśmiechnęła. Harry postanowił utrzymać ten uśmiech jak najdłużej i zabrał dziewczynkę do lodziarni.

— James będzie na nas czekał w Magicznych Dowcipach Weasley'ów — powiedział, kiedy wspólnie zajadali się lodami, siedząc na ławeczce. — Ale zanim się z nim spotkamy, musimy jeszcze kupić ci różdżkę.

— To ten badył, którym robicie te różne dziwactwa? — spytała Betty, łapczywie oblizując swoją porcję lodów.

Harry westchnął ciężko.

— Wiem, że twoja babcia i twój dziadek naopowiadali ci wiele złych rzeczy o magii, czarowaniu i naszym świecie — zaczął, z uwagą przyglądając się dziewczynce — ale chyba już zdążyłaś się

przekonać, że nie wszystko jest takie złe, jak ci mówili, prawda?

— Ta ulica wcale nie jest taka zła — stwierdziła powściągliwie Betty.

— Twój dziadkowie mówią o naszym świecie złe rzeczy, ponieważ go nie znają i zwyczajnie się go boją — wyjaśnił jej Harry. — Ale ty jesteś młodą... ee... sympatyczną osobą... Nie powinnaś kierować się uprzedzeniami...

— Nie będę... jeśli kupisz mi kolejne lody! — zawołała Betty, polykając całą gałkę na raz i wprawiając Harry'ego w osłupienie.

Kiedy kwadrans później dotarli do końca ulicy Pokątnej i Betty zauważyła sklep Ollivanderów, nieomal nie upuściła swojego różka. Sklep był wąski i wyglądał dość nędznie. Litery nad drzwiami wejściowymi, prezentujące jego nazwę były złuszczone i wyszczerbione. Przez brudną szybę witryny sklepowej Harry zauważył jedną starą różdżkę spoczywającą na zakurzonej poduszce. Betty popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Z pewnością nie tego spodziewała się po sklepie, w którym można kupić „badył, którym robi się te różne dziwactwa”.

— Poczekaj, aż wejdiesz do środka — powiedział sucho Harry, obawiając się jakież to komentarz małej Betty usłyszą właściciele okropnego sklepu.

Kiedy przekroczyli próg, gdzieś w głębi sklepu zabrzmiał dzwoneczek. Harry szybko spostrzegł, że od kiedy interes przejął syn Garricka Ollivandera, nic się tutaj nie zmieniło. Sklep był niemal zupełnie pusty, jeśli nie liczyć jednego krzesła z wysokim oparciem, na którym natychmiast usiadła Betty. Wzdłuż ścian od podłogi aż po sufit piętrzyły się wąskie pudełka, w których znajdowały się rozmaite rodzaje różdżek.

— Witam — rzucił młody, szczupły czarodziej, który niespodziewanie wynurzył się z zaplecza i obdarzył Betty zaciekawionym spojrzeniem. — Mogę w czymś państwu pomóc?

— Dzień dobry. Ta miła panienska potrzebuje różdżki — od-

powiedział uprzejmie Harry, wskazując na Betty.

— Ach tak... mała Elizabeth Dursley... w końcu się u nas pojawiłaś... — wymamrotał sklepikarz spoglądając przenikliwie w oczy dziewczynki.

Harry szybko zauważył, że młody Ollivander przypomina swojego sędziwego ojca nie tylko wyglądem, ale także zachowaniem i sposobem mówienia.

— Co to za typ, wujku? — spytała z przerażeniem Betty, gwałtownie powstając z krzesła. — Skąd ma moje dane osobowe?!

Harry pobladł na twarzy. Po raz kolejny zrobiło mu się wstyd z powodu zachowania dziewczynki.

— To jest pan Ollivander. Pomoże ci dobrać właściwą różdżkę — oznajmił Harry, próbując zachować spokojny i cierpliwy ton. — Bądź grzeczna... jak będziesz, to... to... ee... kupię ci jeszcze jedne lody...

Młody Ollivander obdarzył Harry'ego zaskoczonym spojrzeniem. Kiedy jednak zobaczył przemianę Betty w potulnego baranka, zrozumiał, że był to jedyny sposób na doprowadzenie jej do porządku.

— Która ręka ma moc? — spytał, wyciągając z kieszeni długą taśmę ze srebrną podziałką.

— Co on gada?! — zdziwiła się Betty, ponownie zwracając się do wujka.

Harry dostrzegł, że sprzedawca jest wyraźnie poirytowany jej zachowaniem.

— Betty jest praworęczna — odpowiedział z zakłopotaniem, a kiedy dosłyszał jakieś odgłosy dochodzące z zaplecza sklepu, pospiesznie spytał: — Czy zastałem może pańskiego ojca?

— Tak. Jest z tyłu sklepu, szanowny panie — odrzekł uprzejmie młodzieniec, zabierając się za mierzenie Betty.

Harry poprosił dziewczynkę, żeby była grzeczna i podszedł do drzwi wiodących na zaplecze. Zapukał dwa razy i nie czekając na

zaproszenie, wszedł do środka. Zastał Garricka Ollivandera pochylającego się nad czymś, co z pewnością będzie w przyszłości różdżką. Starzec miał w dłoniach jakieś dziwne urządzenia, które Harry widział po raz pierwszy w życiu. Na widok gościa Ollivander oderwał się jednak od swojej pracy.

— Co też pana do mnie sprowadza, panie Potter? — spytał, podając rękę na powitanie.

Harry od dawna nosił się z zamiarem wizyty u różdżkarza. Wciąż nie miał bowiem bladego pojęcia, jak udało się Jacqueline Meadows odbić Zakłęcie Niewybaczalne, podczas starcia w Komnacie Tajemnic. Miał nadzieję, że stary, doświadczony Ollivander pomoże mu rozwikłać tę zagadkę.

— To rzeczywiście bardzo dziwne — stwierdził Garrick, kiedy Harry opowiedział mu dokładnie, co zaszło kilka miesięcy temu w Komnacie Tajemnic. — O ile mi wiadomo, żadna różdżka nie jest zdolna odbić Zakłęcia Niewybaczalnego.

— Nawet Czarna Różdżka? — upewnił się Harry.

Ze sklepu dało się słyszeć odgłos wybuchu. Harry pomyślał, że Betty z pewnością nie trafiła jeszcze na odpowiednią różdżkę. Ollivander westchnął ciężko.

— No cóż. To, że jest pan tutaj dzisiaj ze mną, panie Potter, dowodzi że istnieją pewne wyjątkowe okoliczności, w których można odbić zabójczą klątwę — odparł z rozmysłem. — Niekoniecznie musi to być działanie samej różdżki. Chyba, że użyta jest w sprzyjających okolicznościach...

— Ja przeżyłem atak Voldemorta tylko dlatego, że moja matka dobrowolnie oddała za mnie swoje życie — wyjaśnił Harry. — To miłość była tarczą, która mnie ochroniła.

— Wspominał pan, że panna Meadows jest pana przyrodnią siostrą — zaczął starzec i zrobił krótką pauzę, bo w sklepie nastąpił kolejny wybuch, a przez uchylone drzwi na zaplecze wdarły się kłęby szarego dymu. — Być może jej uczucia do pana nie są

takie jednoznaczne, jak się panu wydaje? — kontynuował z rozważaniem. — Skoro ocaliła panu życie, może i w niej tkwią pewne pokłady miłości?

Harry szczerze w to wątpił. Był pewien, że Jacqueline ocaliła mu życie tylko dlatego, że z jakiegoś powodu Bractwo Czarnej Gwiazdy nadal go potrzebuje.

— Jacqueline nie poświęciła swojego życia, tak jak moja matka — stwierdził po chwili. — Tutaj musi chodzić o coś innego.

— No cóż. Jest w takim razie tylko jedno wyjaśnienie — zaczął bez przekonania Ollivander. — Czarna Różdżka. Jeśli jest tak potężna, jak mówią legendy, mogła uchronić pana przed śmiercią.

Harry zamyślił się przez chwilę. Ile razy myślał o wydarzeniach w Komnacie Tajemnic, dochodził do tego samego wniosku, co Ollivander. Ale przecież widział różdżkę, której Jacqueline użyła. Z całą pewnością nie była to Czarna Różdżka. Poza tym, skąd Meadows miałaby wiedzieć, gdzie jej szukać. Poza Hermioną i Ronem nikt nie wiedział, że spoczywa ona w grobowcu Albusa Dumbledore’a.

— Z tego, co mi wiadomo, jest pan panem Czarnej Różdżki — kontynuował swój wywód Ollivander, uważnie przyglądając się Harry’emu. — Może więc różdżka zdolna jest za wszelką cenę uratować życie tego, kto ma nad nią władzę...

Nagle Harry coś sobie uświadomił.

— Nie jestem pewien, czy nadal mam nad nią władzę — stwierdził lodowatym tonem. — Tamtego dnia Jacqueline Meadows rozbroiła mnie... być może Czarna Różdżka słucha teraz właśnie jej...

Ze sklepu dobiegł dźwięk stłumionego wybuchu i trzask łamanego drewna.

— Więc ma pan odpowiedź, dlaczego tarcza była skuteczna — odrzekł z zadowoleniem Ollivander.

— Tu musi chodzić o coś zupełnie innego — zaprzeczył Harry. — Widziałem różdżkę Jacqueline. Rozpoznałbym, gdyby to była Czarna Różdżka... Chyba, że nie ma potrzeby fizycznego posiadania różdżki, by jej moc spłynęła na właściciela?

Ollivander zamyślił się na chwilę, z lekkim trudem ignorując kolejną eksplozję w sklepie.

— Chyba dobranie odpowiedniej różdżki dla Betty jest dość trudne — powiedział sucho Harry, kiedy kolejne kłęby dymu wdarły się na zaplecze, a Ollivander zaczął zawzięcie machać ręką, żeby je rozgonić.

— To nigdy nie jest łatwe zadanie — stwierdził, a Harry nerwowo zarechotał.

— Z badań, które prowadziłem nad różdżkami przez lata wynika, że kontakt fizyczny różdżki i jej pana jest warunkiem koniecznym — oznajmił z przekonaniem starzec. — Właśnie dlatego różdżka w ręku mugola nie będzie działała prawidłowo. Będzie czuła, że dotyka ją ktoś niepowołany. Aby Czarna Różdżka zadziałała, musiałaby czuć dotyk swego pana.

Harry nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. W końcu to niemożliwe, aby Jacqueline wykradła różdżkę z grobowca Dumbledore'a. Błonia są stale pilnowane i ktoś z pewnością by to zauważył. Zwłaszcza, że mogło się to stać jedynie w roku szkolnym.

— Dziękuję panu za poświęcony mi czas — oznajmił, podając rękę różdżkarzowi.

Kiedy opuścił zaplecze, jego oczom ukazało się prawdziwe pobożowisko. Po całym sklepie wałały się poprzewracane pudełka z różdżkami. Niektóre z nich były nadpalone, inne czarne od sadzy. Resztki krzesła leżały w kącie. Betty stała pośrodku, z niechętnym wyrazem twarzy, a z jej bujnej, nadpalonej czupryny wciąż unosiły się strużki dymu.

— Nie było łatwo, ale w końcu się udało — ucieszył się mło-

dy sprzedawca, otrzepując resztki stropu ze swojej szaty. — Akcja, jedenaście cali. Odpowiednio giętka...

— A jaki rdzeń? — spytał Harry, opanowując śmiech.

— Włos jednoroźca! — zawołała Betty, z zadowoleniem wymachując różdżką, z której poleciały iskry. — Uwielbiam jednoroźce!

Harry widząc panikę w oczach sklepikarza, pospiesznie zabrał dziewczynce różdżkę. Młody Ollivander zapakował ją w pudełko i owinął w brązowy papier, podając pakunek podekscytowanej Betty. Harry zapłacił mu siedem galeonów, a sklepikarz pospiesznie odprowadził ich do drzwi. Harry zauważył, że wyraźnie odetchnął z ulgą, kiedy Betty w końcu opuściła sklep.

W czasie wspólnego obiadu w Dziurawym Kotle Harry wyjaśnił dziewczynce, że nie wolno jej używać różdżki poza Hogwartem. Obawiał się jednak, że niesforna Betty może mieć poważny problem, żeby przestrzegać tej reguły. Tym bardziej, że od czasu gdy udało jej się rozwalić krzesło u Ollivandera, magia wyraźnie zaczęła jej się podobać.

— To jest bilet na Ekspres Hogwartu — oznajmił, kiedy rozstawali się na Privet Drive 4, stojąc przed domem wujostwa Harry'ego. — Nie zgub go. Dziadek zawiezie cię na dworzec pierwszego września, a tam odbierze cię mój przyjaciel Neville.

— A nie możesz ty mnie odebrać? — spytała sucho Betty, wyraźnie niezadowolona.

Zniecierpliwiony James siedzący w samochodzie użył klaksonu, żeby ponaglić ojca.

— Ja mieszkam w wiosce nieopodal Hogwartu. Nie będę podróżował pociągiem jak wszyscy — wyjaśnił pospiesznie. — Ale nie martw się. Trafisz w dobre ręce — zapewnił dziewczynkę. — A ja będę czekać na ciebie na stacji w Hogsmeade.

Petunia i wuj Vernon stali w drzwiach wejściowych, spoglądając na Harry'ego z oburzeniem. Im także nie podobał się fakt, że

ich ukochana wnusia ma podróżować z obcymi ludźmi. Co gorsza, z TAKIMI ludźmi. Kiedy Harry powiedział do nich „do widzenia”, nawet mu nie odpowiedzieli. Betty zrobiła jednak coś, co sprawiło w osłupienie zarówno Harry’ego, jak i Dursley’ów.

— Dziękuję za prezenty! — zawołała z wdzięcznością, przytulając się na chwilę do wujka.

Harry uśmiechnął się w duchu. Zdał sobie bowiem sprawę, że ciotka Petunia i wuj Vernon trudzili się na darmo. Mimo ich wysiłków, Betty na szczęście nie dała zasiać w sobie nienawiści do wszystkiego, co magiczne.